



Papierowa wolność słowa

Andrzej Tadeusz Kijowski 17-04-2008, ostatnia aktualizacja 17-04-2008 07:39

Wolności mediów w Polsce nie było, nie ma i raczej już nie będzie, odkąd w 1997 roku konstytucyjnie zniesiono wolność słowa – twierdzi Andrzej Tadeusz Kijowski, ekspert Senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu



źródło: Rzeczpospolita

[+zobacz więcej](#)

W Polsce Ludowej wolność ta miała iluzoryczny, czysto deklaracyjny charakter. Konstytucja PRL w art. 71, a po 1976 r. w art. 83 wolność słowa gwarantowała obywatelom bez żadnych zastrzeżeń. Cóż jednak z dobrego zapisu w konstytucji, skoro (jak żartowaliśmy w 1968 roku) elastycznym przedłużeniem jej paragrafów była pałka. Za tą pałką stał dekret Krajowej Rady Narodowej powołujący w 1945 r. – jeszcze w Lublinie – Urząd Kontroli Prasy (późniejszy GUKPPIW).

Nic więc dziwnego, że opozycja demokratyczna, walcząc z cenzurą, nie domagała się jej zniesienia, lecz raczej ujawnienia i określenia zakresu kompetencji. To nastąpiło w 1981 r. Powstała wtedy ustawa o cenzurze. Po to, by było wiadomo, co powiedzieć można, czego zaś nie. No i jakie konsekwencje poniesie ten, kto wolności słowa nadużyje, a jakie ten, kto przekroczy uprawnienia kontroli.

Posunięto się jednak dalej. W 1997 r. w art. 54 ust. 2 Konstytucji RP zapisano, że ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej. Tym samym całą „wolność” gwarantowaną przez ust. 1 tego artykułu („Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane”) zastrzeżono wyłącznie dla prasy. Z tym że ta „papierowa” wolność w 1989 r. była już nieco spóźniona. Papier był materiałem strategicznym może jeszcze w 1968 r. Współczesne media zdominowane są przez formy elektroniczne. Zniesienie koncesji na papier niewielkie ma znaczenie dla wolności słowa. Koncesjonowanie częstotliwości oznacza jej zniesienie.

Koncesja prewencyjna

Politycy trzymają więc dziś media żelazną ręką. Oprócz art. 54 ust. 2 konstytucji mają także – towarzyszący wszystkim wersjom ustawy o radiofonii i telewizji, od 17 października 1991 r. poczynając – ust. 2 pkt 1 art. 36: „Koncesji nie udziela się, jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłoby spowodować: 1) zagrożenie interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa oraz naruszenie tajemnicy państwowej”.

Użyto tu czasu przyszłego w trybie przypuszczającym: „mogłoby”! To nie jest zapis mówiący, że coś może się ewentualnie stać, gdy ktoś złamie prawo. Ten zapis stanowi pełny woluntaryzm. Cofa nas do absolutyzmu XVII wieku, zapomina o wszystkich dokumentach wolnościowych, od deklaracji praw człowieka i obywatela poczynając.

Od wielu lat przy każdej okazji staram się zwrócić uwagę na ten horrendalny passus. Wszyscy, którym o tym mówię, patrzą na mnie ze zdumieniem. Nikt (po dziś dzień!) wyrwany do odpowiedzi nie pamięta tego zapisu. Każdy jest (lub udaje, że jest) nieco zdumiony. Przyciśnięty zaś do muru, każdy jakoś przepis ten stara się usprawiedliwiać i bagatelizować.

Tylko doradzający prawnie Centrum Monitoringu Wolności Prasy mecenas Jan A. Stefanowicz podzielił moje zdanie i poświęcił przepisowi jedyny znany mi komentarz w dostępnej na stronach internetowych CMWP analizie „Korupcyjogenność regulacji ustawy o radiofonii i telewizji” (tezy referatu na konferencję Transparency International Polska – 26 kwietnia 2003 r.). Analizując to uregulowanie, stwierdził krótko i bez emocji: „Nie trzeba tu specjalnie uzasadniać, że taka regulacja oznacza w praktyce pełną swobodę w ocenach przy udzielaniu koncesji. Przepisy te można by znacząco uprościć, stanowiąc wprost, że KRRT udziela koncesji, jeżeli uzna to za właściwe”.

Reżim regulacyjny

Dziś uprawnienia – zwłaszcza te o charakterze stricte prewencyjno-cenzorskim – przeniesione

zostają z prezesa Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji na szefa Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Artykuł 33 noweli ustawy (uchwalonej przez Sejm 18 marca) nie pozostawia wątpliwości: „2. Organem właściwym w sprawach koncesji jest prezes UKE. 3. Prezes UKE podejmuje decyzję w sprawie koncesji po zasięgnięciu opinii Krajowej Rady w zakresie pozaekonomicznych interesów narodowych dotyczących kultury, języka i pluralizmu mediów oraz w zakresie, o którym mowa w art. 36 ust. 1”. Prezes UKE pozostałby już jednak – co wynika jednoznacznie z przepisu art. 40 pkt a) – wyłącznym decydentem w sprawie ewentualnej odmowy udzielenia koncesji ze względu na potencjalne „zagrożenie interesów kultury narodowej”, o czym mowa w inkryminowanym art. 36 ust. 2. On także wyreżyzy (zgodnie z proponowanym brzemieniem art. 6a) KRRiT w decydowaniu, którego nadawcę można uznać za „społecznego”, a któremu takiego statusu odmówić. To on zatem, mówiąc słowami mecenasa Stefanowicza, będzie dawał koncesję wtedy, kiedy uzna to za stosowne.

Częstotliwości ci u nas dostatek

A przecież koncesje miały być przejściowe! obrońcy „procesu koncesyjnego” powołują się zazwyczaj na to, że częstotliwości radiowe i telewizyjne są dobrem limitowanym, które nie może być przedmiotem swobodnego obrotu handlowego. Przywołują analogiczne uregulowania ustawowe systemu francuskiego czy angielskiego. Abstrahując jednak od zasadniczej różnicy, jaką jest kultura prawna państw europejskich, gdzie kompetencje umożliwiające kontrolowanie interferencji fal elektromagnetycznych nie są mylone z uprawnieniem do kontrolowania zawartości merytorycznej programu, stwierdzić należy, że nigdzie praktyka koncesyjna nie znalazła swego wyrazu w ustawie zasadniczej. Proszę wskazać taki *passus* choćby w konstytucji francuskiej, która nie wprowadza do swego tekstu przejściowych uregulowań, lecz to, co najważniejsze, przywołuje wprost, cytując *in extenso* deklarację praw człowieka i obywatela z 1789.

Dobro limitowane to oczywiście wyssana z palca bajka dla grzecznych dzieci. Szczególnie od momentu wprowadzenia techniki naziemnej telewizji cyfrowej i związanego z nią pionowego podziału pasma na pięć – sześć kanałów. Taki pakiet kanałów nazywany jest *multipleksem* i już zaczyna być przez UKE reglamentowany. Tak jak po 1989 r. okazało się, że drukarnie nie mają kłopotu z wyprodukowaniem reglamentowanego dotąd na kartki papieru, tak w dzisiejszej dobie cyfryzacji częstotliwości ci u nas dostatek. Pytanie jest o to, kto się pierwszy obłowi w tym cyfrowym lesie.

Skazani na milczenie

Wszystko to oznacza nawrót „reżimu regulacyjnego”, jak rozumie swoją misję szefowa UKE Anna Streżyńska („GW” z 24 marca) – to po pierwsze.

Po drugie: skazanie na milczenie, a przynajmniej marginalizację tych, którym zwolennicy całkowitego roztopienia polskiej podmiotowości i pełnej integracji z Unią Europejską zarzuca chętnie: ksenofobię, zaściankowość, partykularyzm. Cechy, które jakże łatwo utożsamić z najszerzej pojmowanym w brzmieniu art. 36 ust. 2 ustawy medialnej zagrożeniem „interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa”.

Jak więc widać, wolność słowa dotyczy tylko papieru i pozostaje na papierze.

Autor jest publicystą i menedżerem kultury. W latach 1992 – 1995 współtworzył Nową Telewizję Warszawa w prywatnej sieci Polonia 1. W latach 2001 – 2002 był dyrektorem Centrum Monitoringu Wolności Prasy przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich

Źródło : Rzeczpospolita